

## Jak przed ponad stu laty walczono z epidemią w Mandżurii

# Cholera w Chinach

**N**a początku maja 1902 roku, jakieś dwa, trzy dni po moim przybyciu do Port Artur, przechadzając się po „Etażerze” [popularna nazwa głównego bulwaru spacerowego miasta – przyp. red.], spotkałem kontradmirała Wilhelma Witthöfta, idącego z teczką chyba z pałacu głównego naczelnika obwodu i przyszłego namiestnika Jego Cesarskiej Mości na Dalekim Wschodzie, admirała Aleksiejewa. Witthöft zatrzymał mnie, objął wpół i poprowadził ze sobą, tak samo uprzejmie jak podczas naszego pierwszego spotkania.

– Otrzymał mi telegram od naczelnika miasta Yingkou, kapitana drugiej rangi Eberhardta, z informacją, że pojawiły się tam przypadki cholery – oznajmił mi. – Dzisiaj odchodzi pociąg w stronę Mukden [dziś Shenyang – przyp. red.]. Niech pan wpadnie do sztabu, odbierze rozkaz i pieniądze, i jeszcze dziś pojedzie do Yingkou na rozmowę z naczelnikiem.

Wieczorem ruszyłem w drogę i rano znalazłem się w Yingkou, inaczej zwanym Niu Zhuang.

Bardzo mnie dziwiło, że wszystkie stacje kolejowe, także ta w Yingkou, wybudowane przez rosyjskich inżynierów, niezwykle przypominały infrastrukturę rosyjską. Z tą różnicą, że obok napisów w języku rosyjskim, widniały chińskie hieroglify, ale na peronach stali już tacy sami naczelnicy stacji w czerwonych czapkach.

Dworzec i miasto były wypełnione ożywionymi, ruchliwymi i wiecznie zajętymi Chińczykami. Wszyscy bez wyjątku byli ubrani w swoje tradycyjne stroje i nosili bardzo długie warkocze.

### Miasto nad rzeką Liao

Yingkou liczył sobie w tym czasie około 150 tysięcy mandżurskich mieszkańców. Było tu też wielu Rosjan, głównie wojskowych, oraz innych cudzoziemców, gdyż Yingkou to duży port handlowy położony na wielkiej, spławnej rzece Liao, w odległości około 10–20 wiorst od morza.

Całe miasto składało się z parterowych domów w chińskim stylu, z dachami krytymi dachówką i z wywiniętymi do góry narożnikami. Dodam, że dachówki i cegły w północnych Chinach nie są czerwone jak u nas, ale ziemistoszare.

Nie widziałem żadnych europejskich domów oprócz kilku budynków na brzegu rzeki w rejonie portu.

Ulice miasta pokrywały płynne nieczystości, po których do wtóru trzaskania długich batów poruszały się oryginalne, długie i wąskie dwukołowe wozy, zaprzężone w trzy lub cztery mieszane pary mułów, wołów i koni, załadowane masą towarów. Co ciekawe, obracały się w nich nie koła, a osie z pełnymi kołami bez szprych.

Ulice Yingkou były tak wąskie, że w wielu miejscach wozy nie mogły się wyminąć. Chodników nie było. Wzdłuż ulic ciągnęły się tylko płoty. Domy stały przy położonych jedne za drugimi podwórkach, biegnących w głąb od ulicy i pięknie brukowanych.

### Chińska policja

Na skrzyżowaniach stali Chińczycy – ni to żołnierze, ni policjanci – w słomianych stożkowych kapeluszach z powiewającymi się na wietrze czerwonymi wstążkami na czubku, oznaczającymi jakiś rodzaj służb wojskowych. W rękach trzymali rosyjskie karabiny. Gdy obok nich przechodzili nasi oficerowie, stawali na baczność i prezentowali broń. Była to policja złożona z Chińczyków, lecz zorganizowana i dowodzona przez rosyjskiego oficera, dowódcę kompanii jednego z wschodniosyberyjskich pułków strzeleckich, uważanego za tutejszego policmajstra.

Moje obserwacje na temat miasta, dotyczące przede wszystkim jego budynków, mieszkańców oraz ich życia, na trwałe zapisały się w mej pamięci. To były stare, „niewzruszone” Chiny, dopiero co wkraczające w wymuszone sąsiedztwo z Zachodem, w ostatnich czasach z coraz większą szybkością wypierające starożytną kulturę tego kraju.

Wtedy jednak Chiny zachowywały jeszcze swoje stare oblicze, ale przez ostatnie pół wieku bardzo wiele zmieniło się w życiu tego kraju i zamieszkujących go ludzi. Jestem pewien, że co najwyżej tylko przyroda pozostała taka sama jak w czasach dynastii Ming (ostatnia narodowa dynastia rządząca Chinami w latach 1368–1644 – przyp. red.).

Generał Jakow Kefeli (1876–1962), lekarz wojskowy, uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej.



# h w 1902 roku

Ze wspomnień lekarza  
wojskowego, generała  
Jakowa Kefelego.



Opiszę zatem cud chińskiej przyrody, który szczególnie mnie zadziwił – długą rzekę, nad którą rozłożyło się Yingkou.

Rosyjski oficer na brzegu rzeki Liao w Yingkou.

## Rzeka płynąca wstecz

Liao He to szeroka rzeka, rozlewająca się na pół wiorsty przed samym miastem. Jej wody mają kolor brązowy. Pływają po niej tysiące chińskich statków o trójkątnych żaglach. Na każdym żyją członkowie załóg wraz z rodzinami i dziećmi.

Liao He zdumiewa przybyłych do Yingkou Rosjan pewną osobliwą właściwością: płynie – z równą szybkością – w obie strony. Przez pięć godzin podąża w kierunku morza, jakby bała spóźnić się na spotkanie. Jeśli zamierzacie w tym czasie przepłynąć ją łódką, tzw. „szampanką” [z chińskiego *shānbān* ‘łódka’ –

przyp. red.] albo opuścić statek w szalupie, pamiętajcie, że dziób łodzi należy kierować nie ku tej części brzegu, dokąd chcecie płynąć, ale pod kątem 45 stopni, w kierunku przeciwnym do nurtu rzeki.

Następnie rzeka w jakiś przedziwny sposób zatrzymuje się na pół godziny, może godzinę, i nagle, z taką samą werwą, zaczyna płynąć w przeciwną stronę. Raz ku morzu, a raz od morza w głąb łądu.

W jej wodzie niemal zawsze można zauważyć trupy zwierząt, czasem nawet ludzi, pnie drzew, śmieci. To wszystko paraduje w niekończącej się defiladzie. Tam i z powrotem.

Trzeba też dodać, że siła przyprawów jest tu bardzo duża. Zapewne taka sama jak w Port Artur, czyli około dwóch sążni w szczytowym momencie.



Admirał Andrej Eberhardt  
(1856–1919)

Te zadziwiające cuda tworzone są przez potęgę przyrody, niewykorzystaną dotąd przez człowieka. Zdumiewa to zwłaszcza tych, którzy nie znali wcześniej fenomenu morskich pływów<sup>1</sup>.

Nie wiedziałem o tym wszystkim, gdy pierwszy raz przepływałem przez rzekę. Dlatego znajdując się za drugim razem na jej brzegu, byłem pewien, że zapomniałem położenie miasta i leży ono nie na lewym, a na prawym brzegu.

### Wizyta u naczelnika miasta A. A. Eberhardta

Zapytałem przechodzących rosyjskich żołnierzy o drogę do naczelnika miasta i wkrótce zameldowałem się u kapitana drugiej rangi Eberhardta. Pełnił on jednocześnie funkcję dowódcy kanonierki „Mandżur”, zakotwiczonej nieopodal miasta na obszernej rzecznej redzie Liao He, pośród całej eskadry okrętów wszystkich potęg światowych: Japonii, Anglii, Ameryki, Francji, Austro-Węgier, Włoch i Niemiec.

Naczelnik miasta, Andriej Augustowicz Eberhardt<sup>2</sup> był wcześniej adiutantem ministra floty,

admirała Szestakowa. Lat około 40–45, blondyn o szarych oczach i z rzadką brodą. Elegancki, wykształcony, uprzejmy, opowiedział mi o przyczynach powstania tej groźnej sytuacji w okolicach miasta.

### Jak Anglik „wypuścił” cholere

Dwa dni wcześniej angielski parowiec handlowy przywiózł z południowych Chin, gdzie panowała endemiczna cholera, kilka tysięcy kulisów (wyrobników) dla potrzeb budowy rosyjskiej kolei w Mandżurii. Parowiec był przepełniony chińskimi biedakami.

Po tygodniowej podróży, przy podejściu do ujścia Liao He, na statku stwierdzono kilka przypadków choroby podobnej do cholery. Chorzy wkrótce zmarli.

Angielski kapitan wyrzucił trupy w trzciny, po czym na pełnym biegu przepłynął przez miasto i międzynarodową eskadrę. Nie zatrzymał się do kontroli na angielskiej stacji kwarantannowej, zacumował nieopodal dworca i bez pozwolenia władz portowych pośpiesznie wysadził wszystkich pasażerów na brzeg.

### Przypisy autora

<sup>1</sup>Jeszcze w Port Artur przychodziła mi do głowy myśl o możliwości wykorzystania tego niewyczerpanego źródła energii. Przetwarzać miały by ją gigantyczne boje ustanowione przy portowych nabrzeżach, połączone dźwigniami z brzegiem. Sprężynowe dźwignie, stojące na twardym gruncie, mogłyby podtrzymywać przeróżne urządzenia prądowe i mechaniczne, oddając im energię poprzez powolne ruchy pionowe i szybsze ruchy okrężne.

Myślałem wtedy, że można by użyć starych statków o wyporności 10–15 tys. ton. Dziś w kilka dni buduje się statki z żelazobetonu, więc koszt takich wielkich bój byłby bardzo niski. Przy samym porcie w Port Artur, niedaleko warsztatów, znajduje się słodkowodne jezioro o średnicy 80–100 sążni. Można by na nim umieścić gigantyczną boję wielkości dzielnicy miasta, o wadze miliona lub więcej ton. I na tej pływającej dzielnicy zbudować potrzebne zakłady (koszary, warsztaty, magazyny). Kompleks produkowałby energię dla samego siebie, portu, a może nawet dla całego miasta. W dzisiejszych czasach energia przyływów jest stopniowo wykorzystywana we Francji, ale przenoszona przez wodne turbiny budowane w zamkniętych akwenach. Podobnie jak w mojej idei, korzystają one z przyływów i odpływów. Wydaje mi się, że energia olbrzymich bój z dźwigniami byłaby prostsza do uzyskania i efektywniejsza od wodnych turbin. Modna dziś energia atomowa jest bardzo kosztowna. Używana głównie dla celów wojennych czy potężnych, ale lekkich silników. Natomiast o wiele potężniejsza energia przyływów, korzystająca z ogromnych silników pływających, byłaby niezwykle tania i dawała nieskończoną moc dla wszystkich mieszkańców naszej planety, żyjących nad oceanami. Silniki pływające można też budować na rzekach pozwalających na konstrukcję jazów ze śluzami. Stawiając olbrzymie boje ponad przepustami i okresowo zamykając i otwierając śluzy, można uzyskać efekt sztucznych przyływów i odpływów, które wprawiałyby boje w ruch, dając nieskończoną i taną energię. Rzeka nie musi charakteryzować się przy tym wielkim spadkiem poziomów. Ważna jest tylko możliwość wybudowania jazu i spory, naturalny rezerwuuar, gdzie okresowo spływałaby woda. A przy brzegach można zakładać pola zalewowe, na przykład dla uprawy ryżu.

<sup>2</sup>Oficerowie floty często zmieniają miejsce służby. W związku z tym jeszcze parę razy zdarzyło mi się współpracować z A. A. Eberhardtem, moim pierwszym przełożonym w marynarce. W końcu 1902 roku został wyznaczony na flag-kapitana Eskadry Pacyficznej pod dowództwem wiceadmirała Starcka. Dowodził floty, gdy rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska i nastąpił niesławny dla nas atak na redę w Port Artur.

Po zakończeniu wojny, już jako kontradmirał, Eberhardt został szefem sztabu generalnego floty, gdzie pracowałem przez jakiś czas w wydziale historycznym. W roku 1913 został wiceadmirałem i dowódcą Floty Czarnomorskiej. W tym samym roku, na tylnym pokładzie jego okrętu flagowego, odczytałem dla wszystkich admirałów, dowódców okrętów i starszych specjalistów, wykład o nadchodzących manewrach służb medycznych, które organizowałem z porучenia Ministerstwa Floty. Przez cały dzień manewrów towarzyszyłem admirałowi na jego kutrze, kontrolując okręty floty i szpital morski położony na brzegu. W roku 1916 został zastąpiony na tym stanowisku przez wiceadmirała Kolczaka, awansowany na admirała i przyjęty do Rady Państwa.

Admirał, najmilszy i najbardziej godny szacunku człowiek, nie miał wiele szczęścia w wojennym rzemiośle. Zmarł głodny i biedny w Piotrogradzie za rządów Lenina.

### Zarażony tłum dostaje się do miasta

Dwa, trzy tysiące chińskich kulisów ruszyło od dworca w stronę odległego o wiorstę Yingkou. Po drodze niektórzy z robotników zaczęli padać w konwulsjach, co odpowiadało wszelkim objawom cholery.

Policja zauważyła zbliżającą się grupę oraz leżących na ziemi chorych i podniosła alarm. Po wiadomieniu o tym naczelnik, rozkazał natychmiast otoczyć tłum wojskiem, aby zapobiec przeniknięciu zarażonych do miasta, i jak najszybciej rozpocząć kwarantannę.

Przy miejskich władzach chińskich służył angielski lekarz do spraw kwarantanny. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku. Patrzył na wszystkich z góry, podobnie jak inni Anglicy na Wschodzie w tym czasie. Choć służył Chińczykom, mało się liczył z wymaganiami rosyjskich władz okupacyjnych.

Swoje honorarium wypracowywał w oryginalny sposób. Stawał na trapie parowca i przepuszczał po nim wszystkich pasażerów po kolejnym gęsi. Ten, kto był w stanie utrzymać się na nogach i przeszedł przez „punkt kontrolny”, był uznawany za zdrowego. Tak właśnie wyglądała procedura kontroli kwarantannowej.

Za każdą głowę – a czasem były ich tysiące – pobierał od Chińczyków 50 kopiejek z rosyjskiego skarbcza. Kolonialna płaca i kolonialna jakość produkcji!



Na brzegu rzeki.  
Charakterystyczne łódzie  
służące do przewozu  
towarów.

Przy władzach rosyjskich służył natomiast mówiący po angielsku medyk wojskowy, pełniący funkcję miejskiego lekarza sanitarnego.

### **Nadzwyczajne zebranie u naczelnika**

Naczelnik wezwał na ekstraordynaryjne posiedzenie wszystkich lekarzy miejskich i wojskowych. Zebrani doszli do wniosku, że aby upewnić się, czy policji udało się odizolować cały tłum, należy odczekać jeszcze pięć dni, gdyż okres inkubacyjny cholery trwa około tygodnia. Dopuszczano możliwość przedarcia się części potencjalnie zakażonych i wymieszania się ich z mieszkańcami miasta. Na razie nie zarejestrowano więcej przypadków choroby.

W międzyczasie, na wszelki wypadek, przygotowywano szpital choleryczny i podzielono miasto na cztery sektory sanitarne. Na każdy z nich przypadał osobny lekarz prowadzący.

Trzech medyków wyznaczono jeszcze przed moim przyjazdem, a na czwartego Eberhardt mianował mnie, jak to powiedział: „z floty”.

### **Jak zostałem kawalerzystą**

– Nie ma tu żadnych środków transportu, musi pan więc chodzić piechotą lub jeździć konno. Czy umie pan jeździć wierzchem? – zapytał

mnie naczelnik. Odpowiedziałem, że nie umiem. – W takim razie proponuję się nauczyć. Przyśle panu Kozaka z koniem. Zostanie pan zakwaterowany w pokoju przy posterunku policji.

Naczelnikami posterunków byli oficerowie-strzelcy, a dowodzili załogami złożonymi z rosyjskich żołnierzy i Chińczyków.

Po dwóch godzinach byłem już w swej nowej kwaterze.

### **Spacer i zakupy**

Rozgościłem się w pokoju i poszedłem popatrzeć na miasto i jego mieszkańców. Kupiłem buty ze sztylpami do końskiej jazdy. W jednej z witryn sklepowych zauważyłem piękny, czarny nieprzemakalny płaszcz bez rękawów, za to z peleryną jak w nikołajewskich szynelach [płaszcz popularny w pierwszej połowie XIX w. – przyp. red.]. Nabyłem go również, mając nadzieję, że okaże się wygodny podczas jazdy konnej.

Pieniądzy miałem sporo. W Port Artur wydano mi żółd za kilka miesięcy morskiej służby. A wszystko w złotej monecie.

Tutaj również miałem dostawać żółd w zlocie, a oprócz tego jeszcze wojenny dodatek na wyżynienie. Każdy zaś lekarz otrzymywał od miasta 10 rubli dziennie. Co dzień zarabiałem więc około trzydziestu rubli!



Uliczny pisarz oferujący swe usługi na miejskim bazarze.

### Kozacka szkoła jazdy

Po obiedzie przyjechał Kozak z koniem i zabrał mnie na pierwsze nauki.

Dosiadłem konia dosyć swobodnie (odezwała się natura niegdyś jeździeckiego ludu Karaimów) i wyjechaliśmy stępą za miasto. Po pięciu minutach myślałem, że opanowałem już całą sztukę. Ruszyliśmy klusem, a potem galopem. Mój nauczyciel nie dawał żadnych ustnych objaśnień, widać uważając mnie za zaznajomionego z arkanami jazdy. Najgorsze, że nie powiedział mi, że powinienem mocno docisnąć kolana do siodła, aby się w nim utrzymać.

Po dłuższej jeździe po szerokich łąkach zwolniliśmy tempo i wtedy mój koń nagle rzucił się w bok. Przeleciałem nad jego głową niczym bezwładna torba i runąłem na ziemię, na szczęście miękką od wczorajszego deszczu. W oczach ujrzałem gwiazdy. Jedna moja stopa uwięzła w strzemieniu, pałasz plątał się między nogami, a długi płaszcz krępował mi ruchy.

Koń nadal biegł, wlokąc mnie za sobą. Jedynie, co mogłem zrobić, to starać się unosić głowę, aby nie uderzyć potylicą o kamienie. Ale dzięki płaszczowi nie otarłem sobie pleców.

Po 20–30 metrach koń ostro skręcił w bok i moja noga uwolniła się ze strzemienia.

Podjechał do mnie Kozak. Czując, że nic złego mi się nie stało, kazałem mu gonić za uciekającym zwierzęciem. Szybko je schwytał.

Poleżałem przez chwilę, bo wszystko mnie bolało. Następnie wstałem i ponownie dosiadłem konia, aby zagłuszyć w sobie strach po pierwszej porażce. Dopiero wtedy mój nauczyciel wyjaśnił mi przyczynę upadku: siedziałem na siodle jak na krześle, z rozłożonymi kolanami.

– Czemuś mi tego wcześniej nie powiedział, skoroś to zauważył? – spytałem. Okazało się, że się wstydził. Nieśmiałość zabajkalca mogła kosztować mnie życie, gdybyśmy znajdowali się na kamienistym gruncie.

### Na chińskim bazarze

Pomiędzy posiedzeniami lekarzy i lekcjami konnej jazdy poznawałem życie i obyczaje Chińczyków, których po raz pierwszy mogłem obserwować w ich ojczyźnie.

Szczególnie zainteresował mnie bazar: gotowe potrawy, nadziewane bułeczki, sztukmistrzowie, żonglerzy. Niczego nie mogłem tam jeść, po części przez wzgląd na zagrożenie cholera, a po części przez obrzydzenie. Wszędzie dostrzegalne były brud i ubóstwo, co wywoływało uczucie współczucia dla biedoty, a jednocześnie od niej odstręczało.

Bardzo zdziwił mnie wszechobecny hazard wśród prostych robotników. Stoi sobie taki handlarz przy ulicy i sprzedaje bułeczki. Nikt z tłumu nie kupuje ot tak po prostu, ale najpierw bierze z bambusowego kołczanu sprzedawcy losowo wybraną trzciniową pałkę pokrytą jakimis napisami i płaci za nią żelaznymi *czochami* [drobna moneta chińska – przyp. red.]. Monety z kwadratowymi dziurkami pośrodku zostają nanizane na motek przywiązany do pasa handlarza. Gdy zbierze taki pełną pulę „zakładów”, jedzenie trafia do zwycięzcy. Pozostali gracze pozostają bez bułek, a sprytny sprzedawca, potrząsając palczkami w bambusowym kołczanie, przywołuje kolejnych klientów.

Spośród różnych sztukmistrzów i żonglerów szczególnie zapamiętałem połykacza kamieni. Siedział na podkurczonych nogach – chudy, opalony i już niemłody. Przed nim leżało na obrusie kilka gładkich, czarnych kamieni kształtem przypominających jajka różnej wielkości – od kurzego do indyjskiego. Powiedział coś do otaczającego go tłumu, a następnie odchylił do tyłu głowę, otworzył usta i połknął kamień, wydając przy tym głośny odgłos przełykania. Na naszych oczach kamień powoli przesuwał się przez przełyk do żołądka, stopniowo rozciągając skórę szyi. Aż z ust wyrwało mi się westchnienie!

Po paru sekundach nastąpił jeszcze większy cud: kamień zaczął się powoli przesuwac z żo-

ładka do przelęku, aż w końcu Chińczyk spokojnie wypłuł go na wyciągniętą dłoń.

Następnie powtórzył swoją sztuczkę z większymi kamieniami, jeszcze mocniej rozciągającymi skórę szyi.

Nie zauważyłem, aby którykolwiek z widzów dał mu choćby monetę. Na widok wymiotnych odruchów Chińczyka zrobiło mi się niedobrze. Rzuciłem mu kilka srebrnych monet i szybko ruszyłem dalej.

## Pierwszy przypadek

Dobiegał końca przewidywany przez nas okres inkubacyjny choroby. Władze obawiały się, że ludność będzie ukrywać zarażonych przed wzrokiem Europejczyków. Ale pomimo nasilonych działań zorganizowanej siatki chińskich szpiegów w mieście nie stwierdzono nowych zachorowań.

Nadszedł piąty dzień mojego pobytu w Yingkou, a zarazem ostatni dzień oficjalnej kwarantanny. Miałem wielką nadzieję, że za dwa, trzy dni powrócę do Port Artur. I wtedy nagle otrzymałem telefoniczne powiadomienie, że wieczorem odbędzie się nadzwyczajne zebranie u naczelnika miasta. Wykryto bowiem jeden czy dwa podejrzane przypadki.

Na zebraniu główny doktor otwartego za miastem szpitala cholerycznego, lekarz wojskowy Trockij, poinformował, że pierwszy z przywiezionych z centrum miasta chorych bez wątpienia wykazuje objawy cholery, a stan jego jest beznadziejny.

Postanowiono, że następnego dnia od samego rana zostaną wprowadzone wszystkie zaplanowane obostrzenia. Skończyły się moje spacerunki po mieście i nadzieje na powrót do Port Artur.

## Rozmyślenia o moim rzemiośle

Tak oto rozpoczął się mój debiut jako lekarza po ukończeniu akademii. Pierwszym zadaniem stała się walka z cholera w Chinach, daleko od floty, gdzie chciałem wtedy służyć. I do tego w jakich okolicznościach!

Oczywiście, nigdy wcześniej nie widziałem chorych na cholera. O chorobie wiedziałem tylko tyle, ile wyczytałem z książek i nauczyłem się podczas wykładów. No tak, obserwowałem przecinkowce przez mikroskop, ale już niegroźne, nasycone różowym barwnikiem, przypominające raczej wzory na materiale letnich kobiecych bluzek albo na tapetach w dziecięcym pokoju.

I nagle nikt inny, tylko ja właśnie zabieram się za walkę z cholera, i to gdzie – w Chinach! Oto w moich rękach spoczywa los jednej czwartej

dużego miasta liczącego pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. To trochę dużo jak na debiut!

## Mobilizacja mojego oddziału

Rankiem zjawił się u mnie felczer weterynaryjny jednego z pułków. Ze względu na brak innych specjalistów został wyznaczony na mojego pomocnika. Przywiózł ze sobą cały wóz różnych środków dezynfekujących i instrumentów medycznych.

Rosyjski oficer dowodzący komisariatem policji, w którym mieszkałem, zebrał przede mną dziesiątki zdrowych Mandżurów, chłopów na schwał, z podwiniętymi powyżej łokci rękawami i warkoczami okreconymi wokół głowy niczym wieńce. W rękach trzymali lekarskie nosze.

Widziałem już wcześniej tych gigantów. Zajmowali się chyba jakimś chińskim sportem: kładli na hołoble dwa młyńskie kamienie i podnosili to jedną ręką. To dopiero siłacze!

– A oto wyznaczony szpieg-tłumacz, który zaprowadzi pana do domów, gdzie wykryto chorych i zmarłych – dodał funkcjonariusz, wskazując na mizernego, biednie odzianego Chińczyka.

Okazało się, że mój tłumacz posługuje się nie więcej niż pięcioma rosyjskimi słowami: „moja”, „twoja”, „kapitana”... Ja zaś znałem trzy słowa po chińsku: *hao* (dobrze), *bu hao* (niedobrze) oraz *khodya* (chłopak).

## Mroczna procesja

Wsiadłem na konia, którego przyprowadził mój były nauczyciel, Kozak. Z bronią na plecach jechał za mną. Następnie w długiej kolumnie kro-

Gwarna ulica w jednej z mandżurskich wiosek.



УЛИЦА МАНЬЧЖУРСКОЙ ДЕРЕВНИ.



Dom i zabudowania gospodarcze w obejściu mandżurskich wieśniaków.

czyli Mandżurowie z noszami, dalej toczył się wóz ze środkami dezynfekującymi, który obładowano też kilkoma drewnianymi, nieoheblowanymi trumnami. Pochód zamykał felczer z pompą-zbiornikiem, przygotowany do odkażania wszystkiego naokoło.

Procesja ruszyła po wydeptanym błocie za tłumaczem, przytrzymującym poły błękitnego, wyliniałego chałatu, aby nie zabryzgać swojego skromnego odzienia. W rękę trzymał złożony wachlarz, a długi, czarny warkocz sięgał mu poniżej pasa. Dreptał po mojej prawej stronie, bełkocąc coś w przymilnym tonie i wymachując papierem z hieroglifami. Nie rozumiałem go ani w ząb, a on nie pojmował mnie.

– Hao, hao – pokazałem mu ręką naprzód.

Zatrzymywał się ciągle po drodze, szeptał z przechodniami, a potem prowadził nas dalej.

### Mój zawodowy debiut

W końcu zatrzymaliśmy się przy jakiejś furtce. Chińczyk zniknął w środku, wrócił po minucie i bełkocąc, gestem pokazał mi, bym wszedł.

Zsiadłem z konia, oddałem lejce Kozakowi i powiedziałem mu: – Nikomu nie oddawaj lejców. Ani mojego, ani twojego konia. Niczego nie dotykaj, choćby jednym palcem. Inaczej czeka nas zguba.

Wraz z tłumaczem i felczerem weszliśmy na ubogie podwórze, a potem do domu. Cały

pokój, podłogi i posłania były zasłane matami. Na jednej z nich leżał błydy człowiek o zmętniałym spojrzeniu. Na podłodze siedział siwy starzec. Przy posłaniu chorego stały nieruchomo dwie czy trzy kobiety i jakieś dzieci.

Starzec i kobiety zaczęli mi się kłaniać wśród uśmiechów. Używając gestów, zapytałem, czy chory nie miał wymiotów albo rozwolnienia.

Odpowiedzią była kolejna seria ukłonów i uśmiechów. Rozejrzałem się wokół, czy nie ma jakichś śladów, ale stan mat nie pozwalał na rozróżnienie czegokolwiek. Spojrzałem na tłumacza. Ten z jakiegoś powodu pokiwał głową. – Bu hao, bu hao! Niedobrze, niedobrze!

Uznałem, że chodzi mu o chorego. Sprawdziłem puls – mężczyzna nie odezwał się słowem. Zastanowiłem się przez chwilę i postawiłem diagnozę: podejrzenie cholery. Nakazałem felczerowi przynieść nosze i ułożyć na nich chorego. Rodzina cały czas się uśmiechała i kłaniała. Ich zachowanie paliło mocniej, niż gdyby zalewali się łzami.

Wyszliśmy na podwórze i przemyśliśmy ręce roztworem chloru. Czterech Mandżurów wyniosło nosze, podniosło je na barki i brodząc w błocie, przetransportowało ofiarę bezdusznego Anglika do szpitala cholerycznego.

### Dezynfekcja? Izolacja?

Po powrocie do *fanzy* (izby mieszkalnej), nakazałem felczerowi spryskać wszystko chlorkiem i karbolem, chociaż było dla mnie jasne, że niczego to i tak nie da. Należałoby spalić wszystko, co znajdowało się w domu, a całą rodzinę zabrać na kwarantannę. Jednak nawet to nie zwiększyłoby szans na ograniczenie zakażeń. Prawdopodobnie gościli już niejednego sąsiada. Sami też odwiedzali innych, być może znajdując się już w okresie inkubacji choroby.

W tamtych czasach wskutek braku wspólnego języka z Chińczykami walka z cholera była beznadziejna i nie dawała praktycznie żadnych rezultatów. Nie budowano izolatoriów – ich powstanie było technicznie niemożliwe. Jediną szansą na ratunek mogła być jedynie kwarantanna obejmująca całe miasta.

Nie istniały jeszcze prewencyjne szczepionki dla zdrowych. Nikt nie wiedział o mikrobach ani o bakteriofagach chciwie pożerających choleryczne przecinkowce. Dlatego naukowcy nie mogli właściwie zrozumieć „naturalnego” (podówczas niewyjaśnionego) zaniku choroby, powodowanego przez tych właśnie smakoszy bakterii. Dziś możemy obserwować naturalnych wrogów zarazy za pomocą mikroskopu elektronowego. Wielki przełom w profilaktyce

i leczeniu cholery dokonał się m.in. dzięki pracom kanadyjskiego mikrobiologa, profesora Felixa d'Herelle'ego, zmarłego w 1949 r. w Paryżu.

Pół wieku po moich chińskich doświadczeniach muszę stwierdzić, że w obliczu nieoczekiwanego zagrożenia spowodowanego przez Anglika (umyślnie, jak twierdzono wtedy w Port Artur) Rosjanie zadziałali prawidłowo, szybko i odpowiedzialnie. Naczelnik miasta Yingkou, kapitan Eberhardt i jego zastępca, główny lekarz miejski (zapomniałem jego nazwiska), stanęli na wysokości zadania.

### Choroba się rozprzestrzenia

Cholera rozwijała się z niewiarygodną szybkością. Ilość zakażonych rosła w postępie geometrycznym. Po kilku dniach przestałem nadążać z obchodem u wszystkich chorych za jednym razem. Zwiększała się też liczba zmarłych. Musieliśmy sprawić sobie osobny wóz dla transportu zwłok, a obóz wymagał poszerzenia i zwielokrotnienia liczby sanitariuszy i noszy.

Prace podzielono na dwie zmiany: do obiadu i do nocy. Z każdej kolejnej mrocznej procesji wracaliśmy tylko ja, Kozak i felczer. Tragarze kursowali między chorymi a grobami wykopanymi na cmentarzu.

### Profilaktyka najważniejsza

Na posterunku jedliśmy z personelem obiad, odpoczywaliśmy godzinkę lub dwie i powracaliśmy do smutnego zajęcia. Od zatrudnionych przy walce z epidemią Chińczyków wymagałem, na ile to mogli objaśnić im tłumacze, aby niczego nie jedli (karmiono ich na posterunku), nie pili i po każdym kontakcie z chorymi myli ręce chlorkiem. W swoim kwartale jedli i pili tylko gorące potrawy. Takie same instrukcje otrzymał mój osobisty chiński kucharz, który gotował na posterunku.

Ze zmęczenia prawie nie uczestniczyłem w posiedzeniach komisji sanitarnej u naczelnika miasta. Zawsze jednak znałem szczegóły sytuacji w innych kwartałach Yingkou, a to dzięki telefonowi polowemu, który specjalnie dla mnie założono.

### Szpital choleryczny

Pewnego razu musiałem się udać do szpitala cholerycznego, w tym czasie już przepełnionego pacjentami, z których mniej więcej połowa umierała. Szpital składał się z ogromnych namiotów polowych, a w każdym stało co najmniej dziesięć łóżek.

Chorych pokazał mi bardzo aktywny doktor Trockij. Siostry i sanitariusze byli w większości

Rosjanami, rzecz jasna wojskowymi. Żywo kręcili się wśród pacjentów, leżących w czystej pościeli z puchowymi poduszkami na łóżkach ustawionych bezpośrednio na ziemi.

Wtedy jeszcze nikt z rosyjskiego personelu nie zachorował.

### Epidemia nadal się rozwija

Zaraza rozprzestrzeniała się z każdym dniem. Teraz na wyjazd braliśmy już osobny wóz z całą górą trumien.

Mój tłumacz wzbudzał we mnie podejrzania. Nie wiadomo, skąd brał adresy chorych, często zatrzymywał się na jakieś pogawędki z przechodniami. Być może otrzymywał od nich łapówki, żeby nasza mroczna procesja nie zatrzymywała się przy ich domach. A może się myliłem i przewodnik rzeczywiście zbierał informacje o nowych zakażeniach?

Kończył się drugi tydzień epidemii. Sprawy miały się coraz gorzej, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Traciłem już wiarę w szczęśliwie rozwiązanie katastrofalnej sytuacji.

### Obiad z szampanem

W południe zadzwonił do mnie sam naczelnik miasta.

– Niech pan przyjedzie dziś do mnie na obiad! – zaproponował.

– Andrieju Augustowiczu, pan się mnie nie obawia? – spytałem.

– Ależ skąd, niech pan przyjeżdża. Czekam!

Wieczorem byłem jedynym gościem u Eberhardta. Gospodarz ugościł mnie świetnym obiadem, wypytując o sytuację w mieście. Narysowałem mu tragiczny obraz spraw.

Rosyjski lekarz wojskowy z wizytą domową u chińskiego pacjenta. Pocztówka z epoki.







Grupa wieśniaków z wioski w górach Changbai.

Przyplływający do miasta podlegali kontroli, ale jak się okazało, nie była ona wystarczająco ścisła.

Przy stole usługiwało dwóch matrosów z „Mandżura”. Pod koniec obiadu naczelnik szepnął coś jednemu z nich. Na stole pojawiły się dwa kieliszki i butelka szampana.

– Czy coś pan dziś świętuje? – zapytałem.

– To pan świętuje – odpowiedział Eberhardt.

– Dostałem telegram ze sztabu floty, że zostaje pan wyznaczony na starszego lekarza „Zabijaki”, krążownika drugiej klasy. Jutro może pan jechać! – Winszując mi, podniósł kieliszek.

O poranku byłem już spakowany i pierwszym pociągiem ruszyłem do Port Artur.

## Dalsze losy epidemii

Epidemia, której jedynym sprawcą był angielski kapitan statku, pochłonęła tysiące ofiar, Chińczyków i Rosjan. Szalała ponad rok. Przeszła przez niemal wszystkie miasta Mandżurii, zawitała do Port Artur, Kraju Przyamurskiego, Chabarowska. Prawdopodobnie zaatakowała również Władywostok. Utrudniła sytuację na całym Dalekim Wschodzie. Podróżujących kolejną kierowano na przymusową kwarantannę.

Wśród licznych ofiar, które cholera uśmierciła w Port Artur, wspomnę doktora Moskwina, starszego lekarza lazaretu portowego. Mając kontakt z chorymi, nie oparł się pokusie zjedzenia okroszki [rodzaj chłodnika – przyp. red.] z lodem w restauracji „Saratow” i zmarł już następnego dnia.

Zaraza ucichła zimą i ponownie rozgorzała latem 1903 roku w nowo utworzonym namiestnikostwie na Dalekim Wschodzie. Wygasła dopiero jesienią 1903 roku, niedługo przed wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej.

Jedno nieszczęście zostało zastąpione innym, jeszcze tragiczniejszym.

## Bezkarność Anglika

Władze rosyjskie dążyły do postawienia nikczemnego Anglika przed sądem, ale w sprawę wniósł się rząd Wielkiej Brytanii. Choć przestępstwo miało miejsce w rosyjskiej strefie okupacyjnej, kapitan parowca został przekazany jurysdykcji angielskiej. Ci ograniczyli się do minimalnej kary, jak mi się wydaje, nagany.

Czy powodem tak łagodnego traktowania był fakt, że na redzie zajmowanego przez Rosjan Yingkou kotwiczyła międzynarodowa eskadra, w której znajdował się również angielski okręt wojenny?

Ze swych jednostek z podziwem i zazdrością oficerowie i marynarze tej eskadry obserwowali rozmach działań Cesarstwa Rosyjskiego, budującego przez całe Chiny tysiące wiorst torów kolei żelaznej aż do brzegów Pacyfiku. A wzdłuż nich, na pustych przestrzeniach, wyrastały w amerykańskim stylu nowe miasta, dziś zamieszkałe przez setki tysięcy ludzi.

Jakow Kefeli

Tłumaczenie z języka rosyjskiego

Daniel Czachorowski

Konsultacja sinologiczna Kamil Burkiewicz

Fragment niepublikowanych wspomnień znajdujących się w posiadaniu bratanka autora, M. Kefelego z Paryża, z którego zbiorów pochodzą również zamieszczone w tekście ilustracje.